

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:
 W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
 W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
 W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
 W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzye. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
 Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
 Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

ZASADOWICZE.

ALBUM SZKICÓW ODREĆZNYCH

skreślonych
 przez **W. St. Orczyca.**

SERYA III.

I.

Naturaliści.

(Dokończenie.)

Owóż, zasadowicz-naturalista ma to do siebie, że wszystko widzi szarem, mętłem i brudnym... To co innym podnosi ducha i uskrzydla go, jemu wlewa do serca żółć... pesymizmu, — to co innych ukaja i umacnia, w jego usta kładzie wyraz... sarkazmu. Szydzi on ze wszystkiego co nie jest „rozumem“, nie wierzy w nic co przechodzi granice „materyi“, nie kocha niczego co nie działa na jego... „ustrój nerwowy“ i nie dąży do celów innych, jak tylko do takich, które są bezwzględnie „pozytywnymi“. Jego życie to niby ciągły wieczór, bez zupełnej ciemności, ale też i bez pełni światła.

Mówię — bez zupełnej ciemności, bo pewna część dzisiejszych naszych zasadowiczów-naturalistów, mimo całego zmateryalizowania swego, mimo cynizmu i beznadziejności, chowa jeszcze, bezwiednie może, w głębi swych dusz, coś z owych blasków, jakie opromieniały ich dzieciństwo.

Ale ci zasadowicze-naturaliści, to niedobitki zawiedzionych entuzyastów postępu, to resztki z szeregów tych wyzwoleńców w którzy ongi wystąpili do walki „w Imię Boże“! Padła na ich oczy mgła, zwątpiał ich duch, splątały się ich myśli, ale, mimo to wszystko, zachowali jeszcze pamięć jasności.

I bywa czasem, że gdy zawiedzie ich „rozum“, gdy bezduszną „materya“ przygniecie ich silniej swym ciężarem, gdy uczują przesyt „rozkoszy nerwów“, gdy jakiś cel „pozytywny“ nadspodziewanie zniknie im z przed oczu — bywa, mówię, że wtedy, opamiętywają się na chwilę i z mroku przechodzą do światła...

Oprócz nich jednakże mamy nierównie więcej zasadowiczów-naturalistów — świeższej daty.

Ci już wychowali się w mroku, tym już od kołyski wgrzyzał się w serce robak przeczenia i wżerała się w oczy złowonna mgła pesymizmu. Życie tych znowu zasadowiczów, to już nie wieczór szary — lecz noc czarna.

Oni w to nie wierzą, przeciwnie utrzymują, iż widzą jasność wielką, olśniewającą, i dumni są, pyszni, bo ową rzekomą jasność uważają za swoje dzieło...

I tak też jest w istocie.

Człowiek w ogóle nie może żyć bez światła — jeżeli nie ma naturalnego, musi mieć choć sztuczne. Więc i zasadowicze-naturaliści, zamroczeni przez „nowego ducha czasu“, utraciwszy władzę widzenia słońca wiary religijnej, zaślepiwszy na blaski światła prawdziwego, musieli uciec się do światła sztucznych — o blasku fałszywym. Pozapalali tedy w mrokach przybytku swoich dusz zwątpiałych kaganki doktryn „nowożytnej filozofii pozytywnej“ i wmawiają w siebie że takie właśnie światło jest jedynie prawdziwym... racjonalnym...

Biedni — kalecy...

Żal mi ich, ale stokroć bardziej żałować trzeba tych, których oni kalectwem swoim zarazić pragną i zarażają, niestety.

Ślepiec taki moralny, to niezmordowany krzewiciel kultu „niepodległości moralnej“, to sowa bezustannie hukająca: „biada! biada! biada!“ Nie idzie mu niby o nic więcej tylko o „wytrzeźwienie“ ludzi z „przesądów“, o „zbudzenie mas z letargu“, ma on niby na celu wykazanie niepraktyczności wszelkich „złudzeń idealistycznych“ i sprowadzenie „nowej ery“, — ery szczęścia trwałego... pozytywnego...

Niby — a naprawdę?

Być może iż pomiędzy zasadowiczami-naturalistami są ludzie dobrej woli, którzy, acz w tak dziwny sposób, pragną dać szczęście ludzkości, ale nie może być, aby najlepsza nawet ich wola wynagrodziła szkody jakie zrzędząją.

Pomijam tu szkody jakie zasadowicze-naturaliści zrzędząją bezpośrednio — swem życiem — i pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę na ich wpływ pośredni.

Oto np. dzisiejsza nasza t. z. nowella, — którą zresztą scharakteryzowałem już poprzednio (Nr. 3 z r. b.) ogólnie — czy ona nie szkodzi ogółowi? Ano, przypatrzmy się jej raz jeszcze, ale już z bliska:

On i ona jadą po ślubie (1) do swego domu, jadą szczęśliwi, zakochani, przysięgają sobie miłość dogonną; wtem wpadają do rzeki i zaczynają tonąć. Ona chwytą się jego za szyję, a on — po chwilowym wysiłku wyratowania z nurtów rzeki ukochanej „nad życie“ istoty — poczyną ją bić po głowie... Uderza raz, drugi, trzeci, aż w końcu uwalnia się z jej uścisku i wypływa... sam! Ona tonie, on się rozchorowywa, a przy jego łóżku, w chwili pogrzebu nieszczęśliwej ofiary, kojarzy się nowe znów małżeństwo.

Cóż wypada z tego? — wypada iż człowiek jest niewolnikiem swego instynktu samozachowawczego i że nie umie kochać „nad życie“ — wypada drwina z miłości serdecznej — złowróbną przestroga dla tych co kochają.

Albo to:

(1) Zob. w Kurjerze Warszawskim — „Nad życie“ N-ra. 3, 4 i 5 z r. b.

Po długich latach pracy, chudzina jakiś (2) zostaje kaleką, traci zajęcie dawne, a nie może znaleźć nowego. Ma on żonę i kilkoro dzieci, żona, w zastępstwie męża, bierze się do pracy ze zdwojoną energią, robi co może, aby nie upaść pod brzemieniem nieszczęścia, — a on? On, nibyto, aby nie być żonie ciężarem, wychodzi pewnego wieczora z domu na miasto, i—wiesza się.

I oto znowu przestroga dla tych co pracują i cierpią— przestroga i z chęcią (!) do znoszenia przeciwności, do walki z losem.

Albo jeszcze:

Jemu przepowiada ktoś (3) że zginie od „pierwszej kuli“, więc rozpacza i chce się pozbawić sam życia, ale ona powiada: „wierz a nie zginiesz“ i zawiesza mu medalik na szyi. To skutkuje do tego stopnia, że on nabiera otuchy i idzie na spotkanie owej „pierwszej kuli“, bez trwogi, bo wierzy, że Opatrzność Boża uchroni go od śmierci. Tymczasem cóż się dzieje? Wbrew swej wierze, ginie od „pierwszej kuli“.

A więc mamy i trzecią naukę naturalistyczną, trzecią przestrogę dla tych co — wierzą w Opatrzność Bożą!

A ze wszystkich przytoczonych tu przykładów cóż więcej wysnuć można oprócz... z wątpienia?...

Wszystkie te trzy nowelle to jeden okrzyk: Biada! Biada ci człowiecze bo niema na świecie miłości, tylko instynkta zwierzęce, — niema wytrwania, tylko słabość i tchórzostwo, albo głupota — niema Boga tylko... fatalność ślepa!

I w tem to właśnie tkwi jądro złego, jakie nam zrządza tak zwane zasady naturalistyczne i ich wyznawcy, oraz krzewiciele, a ci ostatni przedewszystkiem.

Co bo za dziwna przyjemność opisywania samych tylko ułomności ludzkich? — co za szczególny pociąg do błota, tylko do błota? A toć błoto widzimy i bez nowelli, toć ułomnych i bez opisu spotyka się dość często...

Prawda! realizm! — wołają w swojej obronie dzisiejsi nowelliści, — oto racye, dla których piszemy tak, nie inaczej. A ja odrzekłbym im na to: brak siły moralnej, ślepotą ducha, niewiara i poganizm — oto rodzice waszych bohaterów, niegodnych tego tytułu. Burzycie, zamiast budować, — osłabiacie, zamiast umacniać, — brudzicie, zamiast oczysz-

(2) Zobacz w Kurjerze Warszawskim — „Baselista“ Nr. „gwiazdowy“.

(3) Zobacz tamże: „Pierwsza kula“ przez M. Rodziewiczównę.

VON KRAMST

przez
Autorkę „Opowiadań“.

(Dalszy ciąg.)

Po Siedlickim przeszły zimne dreszcze. Ale zanim zdobył się na odpowiedź, z głębi przyległego do kancelaryi pokoju ozwał się głos jakiś:

— Tak, będą wycinać. — A po tem potwierdzeniu, wszedł zaraz plenipotent.

Siedlicki stracił przytomność umysłu, zmieształ się tak, że nie wiedział, co mówi.

— Nie, nie, nie! — powtarzał bezwiednie — ażeby las wyciąć, trzeba mieć na to zezwolenie dziedzica.

Plenipotent roześmiał się i wzruszył ramionami.

— Co też ty pleciesz Siedlicki! — zawołał — wszakże jestem pełnomocnikiem von Kramsta, jestem plenipotentem owego dziedzica. Tak, czy nie?

-- Nie, nie, — powtórzył rzadca.

Lecz w tejże chwili oprzytomniawszy nieco, dodał:

— Tak, pan plenipotent jest upoważnionym do działania, dziedzic dał mu swe zezwolenie.

— A dziedzic wie o tem, że las jego ciąć będą? — zapytał Michaś.

— krzywicie, zamiast prostować! Oto wasza „prawda“ — i wasz realizm... błotnisty. Zawróćcież z drogi!

Nie — oni o tem nawet słyszeć już nie chcą. Obok siepoty, dotknęła ich i głuchota moralna.

Biedni!

CHLEB DLA SWOICH. (1)

VI.

Z Warszawy. W jednym z numerów z roku zeszłego, pod tą samą rubryką, podaliśmy wiadomość, iż właściciele sklepów chrześcijańskich na prowincyi, uskarżają się na brak w Warszawie takiej chrześcijańskiej fabryki wyrobów kwiatciarskich, w której możnaby dostać kwiatów *tanich* dla kobiet wiejskich. Z tego powodu właściciele sklepów wspomnianych, po towar ten, żądany przez wienniaczki w znacznej stosunkowo ilości, zmuszeni są udawać się do żydów. Otóż obecnie jedna z właścicielek fabryk polskich w Warszawie, zgłosiła się do nas z oświadczeniem, iż kwiaty o jakich mowa mogą być w jej zakładzie przygotowywane na zamówienia sklepów chrześcijańskich prowincjonalnych, według wskazania ceny i gustu najwięcej — rozpowszechnionego. Adres fabryki tej możemy wskazać interesowanym, którzy słusznie i w tym razie woleliby dać zarobek *swoim*.

Z Ozorkowa (gub. Kaliska). Ozorkowa nie można już nazwać miasteczkiem. Jest to miasto ludne, ruchliwe, handlowe i fabryczne. Wprawdzie rodzony to braciшек starszej swojej siostrzyce żydowskiej (no... i niemieckiej także) brudnej Łodzi, ale, bądź co bądź, jest to miasto liczące, jak obecnie, do 12,000 ludności, z której najmniej... szczęśliwą jest ludność „rdzenna“ — tuziemna. Żydów jest tu 6,000 i ci są panami sytuacji — w ich ręku wszystko — i wszystko na ich usługi. Ponieważ Ozorków, jak wspomniałem, jest miastem fabrycznym, przemysłowym, a przemysł i fabryki to znowu niwa na której panują u nas, rozwijają się, i z której plon zbierają Niemcy, przeto dwie fabryki wielkie i kilka pomniejszych, są w ich posiadaniu. Że zaś znowu Niemcy, zbierając żniwo w „barbarzyńskim kraju“, uważają za właściwe usuwać ludność miejscową na ostatni plan, a protegować przedewszystkiem Niemców i nimi obsadzać wszystkie pozycje, wszystkie miejsca lepsze, przeto obok owych 6,000 żydów, mamy jeszcze do 3,000 Niemców — protestantów, stanowiących żywioł w ogóle zamożniejszy. Reszta tedy z ogólnej cyfry mieszkańców, to jest 3,000 przypada na ludność miejscową, katolicką, którą znów, — oprócz kilkudziesięciu rodzin tak zwanych obywateli miejskich, po większej części rzemieślników, posiadających

(1) Po adreśy osób — gotowych udzielić bliższych jeszcze informacji, na miejscu, lub przez korespondencyę, — interesowani zgłaszać się mogą do Administracyi naszego pisma. (Przy pisiek Red.)

— A choćby nie wiedział, to co? — ozwał się Leonidas.
— To cięcia robić nie można!
— Nie można? — powtórzył z ironią plenipotent — może też i można, gdy będą do tego odpowiednie piły i siekiery...
— Panie administratorze, — ozwał się znowu Michaś — pan nie sprzedasz lasu bez wiedzy von Kramsta.
— A to wyborne! pan Michaś mi zabroni?
— Von Kramst zabroni.
— A pan Michaś zadenuncjuje mnie przed von Kramstem.
— Tak, ostrzegę von Kramsta listownie.
— Rozumiem!... skłonności i choroby odziedziczają się po rodzicach...
— Co pan przez to rozumiesz? — zawołał Michaś — Tak jest, odziedziczyłem po przodkach poszanowanie cudzej własności...
Plenipotent zaśmiał się szydersko.
Blady, jak trup Siedlicki, załamała ręce, że aż zatrzeszczało w stawach; w śmiertelnej trwodze, żeby plenipotent nie oskarżył go przed Michasiem, chciał zapobiedz dalszej sprzecze.
— Michasiu, — zawołał — od czasu tego nieszczęsnego wydalenia cię z uniwersytetu, stałeś się zgryźliwym...
— Mogli mnie wydaląć z uniwersytetu, bo na to może zasłużyłem... lecz nie zasłużyłem nigdy na ludzką pogardę!

nędzne, przeważnie, domki, i po jednym lub, najwyżej, po dwa morgi ziemi—składają wyłącznie, najnędzniej już płatni robotnicy fabryczni. Owóż na tej to ostatniej kategorii ludności najbiedniejszej — ludności „rdzennej“, owo wspomniane wyżej, panowanie synów Mojżesza, odbija się w sposób najdotkliwszy i najboleśniejszy.

Wogóle bowiem, wyznać należy, że tutejsi panowie właściciele fabryk, ani o moralną, ani też o materialną stronę bytu, owej licznej rzeszy pracującej, nie troszczą się zgoła; — nie naśladowując pod tym względem niektórych przy najmniej fabrykantów łódzkich, lub takiego chociażby tutejszego fabrykanta, nieboszczyka już dzisiaj, Henryka Schlössera, który, jakotako jeszcze, poczuwał się do obowiązku rozciągania opieki, nietylko nad niemiecką, ale i nad tutejszą ludnością swą roboczą. Od czasu wszakże jego śmierci, stosunki pogorszyły się znacznie, i dziś ludność ta nietylko nie ma ani np. szpitala dla chorych, ani ochrony dla dzieci i t. d., ale co najgorsza, to ta właśnie ludność, przy zaopatrywaniu się w najkonieczniejsze potrzeby do życia, jest najstraszliwiej wyzyskiwaną przez liczne i posiadające cały handel spożywczy w monopolu, kramy i kramiki żydowskie.

Była tu wprawdzie kiedyś myśl założenia zbiorowemi siłami sklepu z najpotrzebniejszymi artykułami żywności — sklepu naturalnie nieżydowskiego — nawet kilkunastu mieszkańców zamożniejszych chciało chętnie należeć do tego przedsięwzięcia w charakterze wspólników; ale ponieważ projekt nie znalazł ani uznania, ani poparcia ze strony właścicieli fabryk, więc upaść musiał.

A skoro tak się stało, to dziś jest tem gwałtowniejsza — ależ, jak najgwałtowniejsza! — potrzeba założenia przez pojedynczego przedsiębiorcę tu, w tym naszym Ozorkowie, sklepu spożywczego chrześcijańskiego, jakie przecież we wszystkich kątach kraju, w miejscowościach o wiele mniej ludnych, już powstają i, jak słyszę, istnieją z powodzeniem.

Ktoby zaś z ludzi posiadających jakiś kapitałik, a przytem sumiennych i energicznych, zdobył się na to, ten, stoczywszy, naturalnie, w początkach walkę z konkurencją żydostwa, dla którego, jak wiadomo, wszystkie środki są dobre, mógłby nietylko wyzyskiwanej dziś kilkotysięcznej ludności oddać wielką usługę, uwalniając ją od wyzysku, ale i sam mieć przytem dobry kawał chleba.

Nie ulega wątpliwości, że cała masa ludności robotniczej, eksploatowanej, powtarzam, i oszukiwanej niemiłosiernie przez kramy żydowskie, rzuciłaby się do takiego sklepu chrześcijańskiego, a masa w takich razach znaczy przecież niemało. Przytem dodać należy że dzisiaj sży plenipotent i dyrektor dwóch głównych połączonych fabryk pan J., jest, jak mówią, człowiekiem dobrym i żywiej nieco odczuwającym niedolę ludzką, przeto sklep o jakim mówię, mógłby i z tej także strony liczyć na poparcie.

W każdym razie, byłby to jedyny sklep chrześcijański w Ozorkowie, mieście z 12-stoma tysiącami

nie, nigdy!... Mogę być nieszczęśliwym, lecz nikczemnym nie będę!

Leonidas miał w sobie różne popędy, których nigdy nie kielznał; życie zmysłowe zmarnowało w nim człowieka. W młodzieńczych latach, coś z niego wytraściło człowieczeństwo, a odtąd dał folgę wszystkim swym niskim namiętnościom. Jakby naumyślnie zachwasczał grunt swój moralny, żeby ślad zginął po tem, co niegdys tam rośło.

A jednak dziwna rzecz, w tej bezmyślnej naturze, były czasami rzuty inteligencji, objawiały się zaś one najczęściej wtedy, gdy ludzka uczciwość potrafiła serce Leonidasę.

Leonidas żył... i używał; wiele z siebie rzucił dyabłu na strawę, ale w tem wiele rzuconem, zapomniał wyrzucić ze swej piersi serca. Leonidas miał serce.

Drżący głos Michasia poruszył go, począł żałować, że w tę twarz wybledzoną cierpieniem, bluznął zarzutem dzielectwa skłonności denuncyatorskiej.

Gdyby ten blady Michaś wiedział o wszystkim!... Nie, Michaś nie wie o niczem... Michaś niczego się nie dowie od Leonidasę.

Plenipotent umiałby sprzedać całe obszary lasów von Kramsta, umiałby zrabować go do szczytu i marnować kradzione, umiał pić do utraty zmysłów i chlubić się z tego; umiał to wszystko, umiał jeszcze więcej ciekawych rzeczy,

ludności. A więc?... Znajdzie-li się ktoś, kto zrozumie i ogólny, i własny, wcale niezły—interes?...

Bodajżeby w szczęśliwą godzinę to wymówił.

Ktoś z Ozorkowa.

Z Pilicy (gub. Kielecka). Widocznie społeczeństwo nasze nie jest jeszcze tak „strupieszale“, za jakie je podają różni panowie „postępowcy“, skoro, przecierając oczy, poczyna bronić się od uderzającej nań z niezmierną siłą fali judaizmu, — skoro poczyna fali tej stawiać tamy, sypać groble, słowem ratować się przed zalewem i zagładą. W celu tedy przyczynienia się do usypania i w naszej okolicy jakiejś także grobelki, spieszę z wiadomościami, o które odwołujecie się do swoich czytelników.

Coraz lepiej to widzę, iż znaczna już część naszego społeczeństwa jest usposobioną do omijania handlu żydowskiego, a popierania swoich. Co do mnie, zasady tej trzymałem się zawsze i staram się, o ile możliwości, nie odstępować od niej. Niestety, — lubo udarowany przez Najwyższego Stwórcę wolną wolą, tak wielką władzą duszy, widzę iż nie mogę postępować według własnej woli, nawet w tych razach, w których zdawałoby się, że zupełnie od siebie zależę — i nawet tam, gdzie idzie o popieranie swoich, nie mogę być zależnym tylko od siebie. Bo oto, w miastach, które z konieczności odwiedzać muszę, niema takich sklepów chrześcijańskich, gdzieby wszystkiego dostać można. Brak zaś jest przedewszystkiem sklepów z towarami lokciowemi, a natomiast żydowskich jest po kilka w każdym z tychże miasteczek.

Tak naprzykład w Pilicy, miasteczku pod względem handlowym, dość ruchliwym, położonem między Zawierciem a Wolbromem, posiadającym wielką fabrykę papieru i liczącem parę tysięcy ludności, istnieje jeden jedyny sklep chrześcijański z towarami kolonialnemi, podczas gdy wszystkie inne są w ręku żydów. Sklep ten nie może skarżyć się na brak ruchu i powodzenia, a jeżeli ten jeden zdołał się utrzymać, pokonawszy liczne trudności, stawiane mu przez „najserdeczniejszych“, w celu, naturalnie, zgniecenia nowego konkurenta, to czyż nie mógłby się utrzymać jeszcze jeden lub więcej sklepów takich z towarami i n n e m i? Zważywszy że w Pilicy mogą egzystować i rozwijać się pomyślnie aż trzy sklepy żydowskie z towarami lokciowym, nie licząc handelków prywatnych, po domach, prowadzonych tajemnie, to czyż choć jeden chrześcijański nie mógłby być założonym i liczyć na swoje rozwinięcie? Sądzę, że gdyby się znalazł ktoś odważny, a rozumiejący się, że tak powiem — na rzeczy, mógłby się podjąć tego ni by, na pozór, trudne, go dzieła i rzuciwszy Pilickiemu żydostwu rękawicę, stanąć odważnie do walki. Inteligencya miejscowa oraz okoliczna, a przedewszystkiem duchowieństwo miejscowe i okoliczne, wszystkie potrzeby swoje zaspokajałoby w tym sklepie, przykładem zaś swoim i zachętą, pociągnęłoby za sobą całe masy włóścian, na których najwięcej liczyć można. Wszak każdy człowiek, kimkolwiek on jest, jako potrzebu-

lecz nie umiał naigrawać się z cierpień poczciwych ludzi; co więcej, szanował poczciwych.

— Cóż winien ten blady, sentymentalny chłopiec, że ma takiego nikczemnika ojca? — mówił sobie w duchu, a głośno dodał. — Powiedziałem ci, panie Michale, że skłonności odziedziczają się po ojcach, zastanawia mnie to jednak, z kąd się wzięło usposobienie do egzaltacji w panu! To chyba spadek po matce, bo ojciec ma naturę pozytywną.

— Z kąd się to w nim wzięło, z kąd, z kąd? — powtarzał machinalnie Siedlicki.

— Z kąd? — odpowiedział chłopiec, — powiem ci zaraz, ojczu, z kąd? z nieba, które wisi nad rodzinną ziemią... z łąk, pól i sadów naszych... z dymów nad naszymi strzechami... z krzyżów, które stoją po drogach... z dzwonów przy naszych kościołach... z mogił naszych po cmentarzach... z pieśni naszych poetów... i z tych lasów które wycinać mają... wreszcie... ztąd... — dodał, kładąc rękę na piersi — ztąd, bo tu jest wszystko!...

— Widzisz Michasiu, — objaśniał Siedlicki — von Kramst jest cudzoziemcem, von Kramst nie dba o to wszystko, nie dba też o ten majątek, a z tą ziemią nic go nie wiąże...

— Ale nas wiąże! czy zapomniałeś o tem, ojczu? Biada nam gdy przykładamy rękę do zniszczenia, a jeszcze w ten sposób... to zbrodnia, ojczu!

je jeść i pić, aby żył życiem ziemskim, tak również (jeżeli mieszka w kraju ucywilizowanym) potrzebuje się okryć. Jeżeli zaś znowu weźmiemy pod uwagę, że gdyby każdy człowiek przeciętno w o wydawał na ubranie tylko 2 ruble rocznie, to proszę państwa, sklep o jakim mówię — od ludzi z naszej tylko jednej parafii miałby rocznego targu 8,000 rubli. Czyż więc można byłoby wątpić o egzystencji sklepu, gdyby w nim i mieszkańcy wszystkich okolicznych wiosek nabywali towary?

A niechaj się nie obawia zakładający ów sklep, że wieśniak nie pójdzie do niego po towar. Owszem i pomiędzy ludem wiejskim wyrabia się przekonanie, że lepiej jest kupować u swego, boć przecie jako chrześcijanin ma sumienie i z przepisów religii swojej, nie może okradać, ani oszukiwać bliźniego, gdy przeciwnie żyd — okraść, oszukać, obrabować „goima“ może, bo jego *talmud* pozwala mu to. Chętnie więc, powiadam, do polskiego sklepu garnęliby się chłopci, po perkale, barchany i t. d. Potrzeba tylko umieć z nimi rozmawiać i uważać ich za tak dobrych klientów jak wszyscy inni, gdyż chłop, jakkolwiek niewykształcony, skoro tylko spostrzeże, że go ktoś lekko lub poniżająco traktuje, — odstępuje się zaraz. Nie można też przywiązywać wielkiej wagi do wyrazów których chłop używa, gdyż nie jeden, nie umie się wyrazić właściwie; może coś powiedzieć nie tak jakby chciał i jakby myślał, może więc jakimś słowem obrazić, nie mając bynajmniej podobnego zamiaru. Gdyby w takim razie kupiec obszedł się z nim niegrzecznie, nie urządziłby go więcej w swym sklepie. W ogóle chrześcijanom zakładającym sklepy należałoby patrzeć na wieśniaka z największym pobłażaniem i obchodzić się z nim o ile możliwości łagodnie, a każdy sklep taki nie tylko może sobie zapewnić łatwo egzystencję, ale nadto wśród mas ludowych, zjednać sobie wziętość bezwarunkową.

Jeżeli zaś nie znalazł się kandydat, któryby na własną rękę chciał w Pilicy założyć sklep wspomniany powyżej, — to poważę się zrobić jedną jeszcze propozycję. Wiadomą jest rzeczą, że gdzie jeden nie może, tam kilku razem złączonych, działając jednomyślnie i wspierając się wzajem, dochodzą do pożądanego rezultatu. Możeby zatem kilku ludzi, zebrawszy odpowiedni kapitał, zechciało się podjąć tego, powtarzam raz jeszcze, ni by trudnego dzieła, a nie mówiąc już o własnej ich korzyści, oddaliby i ogółowi tutejszemu rzeczywistą usługę.

Znam taki sklep s p ó ł k o w y — założony w pewnym mieście powiatowem, przed paroma laty, przez ludzi inteligentnych — który mimo silnej bardzo konkurencji, utrzymał się i zdołał poskromić żydowstwo. Możeby się więc to i w Pilicy udało?

Dzisiaj w ogóle, w kraju naszym, między ludnością chrześcijańską jest bieda; pieniądze zaś jeżeli gdzie są, to jedynie chyba u żydów. Czyż nie słuszną zatem, ażeby kto może i jak może popierał swoich i swoich, zamiast żydów, bogacił? Toć przecie i ów „popęd samozachowawczy“ tak nakazuje.

Ks. W. G.

W tej chwili na dziedzińcu rozległ się tętent kopyt końskich, a jednocześnie ktoś zakrzyknął.

— Gdzie administrator? hej, prędzej! goniec od pana von Kramsta!

Plenipotent i Siedlicki wypadli na podwórzec. Posłaniec przywoził zawiadomienie, że Włodzimierz von Kramst, syn Hermana von Kramsta za parę godzin przybywa do Wilczanki.

III.

Dziwnie oryginalnym był Włodzimierz von Kramst! Jego oryginalność nie polegała na odrębności pojęć, na zdumiewających niespodziankach czynów, lecz na zgryźliwym poglądzie na fakta, na osobliwej podchwytności zwierzęcia w człowieku, do którego się zbliżał. Zdawałoby się że ta jego prokuratorowska zdolność do wyprowadzania wniosków z ujemnej strony bliźniego, pochodziła od kurczów duszy, z poranionych uczuć; tymczasem owa filozofia goryczy, którą Włodzimierz upodobał sobie, brała źródło z nadużycia wrażeń bez doniosłości zdarzeń.

Inteligencja francuzka, z którą się poznał w Paryżu, utrzymywała, że Włodzimierz posiada niesłychanie dziwną naturę. Zkąd się ona wzięć mogła w tym młodzieńcu dwuplemiennym, po systematycznie kulturowym ojcu,

Z Olkusza. Ponieważ, o potrzebie sklepów chrześcijańskich w Olkuzie, który również znam dobrze, musiałbym mniej więcej, powtórzyć to samo, com powiedział już wyżej, więc dodam już tylko, że i w tem mieście — powiatowem — założenie sklepu chrześcijańskiego z towarami *łokciowemi* byłoby bardzo pożądanem, gdyż i tutaj żydowskich sklepów takich jest kilka, chrześcijańskiego zaś — a n i j e d n e g o .

Ks. W. G.

Szanownych abonentów i w ogóle przyjaciół naszego pisma prosimy uprzejmie o nadsyłanie nam do rubryki niniejszej odpowiednich wiadomości i informacji ze wszystkich stron. W wiadomościach tych, niechaj żadnemu z łaskawych korespondentów nie idzie zgola o „obrobienie stylowe“, ale wyłącznie o fakta.

KONIEC ŚWIATA.

STUDYUM PSYCHOLOGICZNO SPOŁECZNE

przez Edwarda Drumont.

(Dalszy ciąg.)

Obrońcy dawnych monarchij, ci co dochowali wiary i szacunku dla świetnej przeszłości, umierają z rozdarciem sercem, rozczarowani, zapomnieni; wszystkie ich nadzieje zostały złamane, wysiłek całego ich życia pozostał bezowocnym; w szczupłym nieszkaniu z wytartymi meblami, w którym zewsząd czuć nędzę przyzwoiła, ostatnie spojrzenie tych zwyciężonych widzi ukochaną towarzyszkę, biedną staruszkę, pozostającą bez środków do życia i uczciwą, wdzięczną dziewczoję, która nie będzie miała ani grosza posagu...

Nigdy księżniczka krwi nie wejdzie na strome schody wiodące do tego mieszkania, nigdy monarchini nie przestąpi tego progu i nie powie temu dziecku: „Twój ojciec był bezinteresownym i dzielnym człowiekiem, był wielkim obrońcą spraw straconych, czytałam jego książki i przychodzę ci podziękować w imieniu królów.“

Scena zmienia się od chwili, gdy chodzi o królowę, której niepodobna fryzować, gdyż nie ma głowy, i o jej damę dworu, zmuszoną śmiać się — nie ustami... Dla siostry takiego pisarza medalion z cyfrą cesarską, dla jego siostrzeńca szpilka ozdobiona brylantami, a wieniec dla zmarłego poety... Jakże śmiałybys się w swoim grobie, ty wielki szyderco, gdybys nie widywał już od czasu do czasu kary dla siebie, ukazującej się w postaci trzech ciężkich kolumn panegiryku, poświęconego tobie przez Wolffa..

Nie chciałbym zresztą robić przykrości cesarzowej austriackiej, skoro ją to tak bawi, że rewolucyoniści ucinają głowę jej synowi i synowej, i że żydzi układają o tem wiersze krotocwilne. To jej raczej dotyczy aniżeli mnie.

To co mówię, mówię tylko dla zasady.

Przyznaję nawet bez trudności, że ta ironiczna selicha o Maryi Antoninie, jest arcydziełem artystycznego

niemcu i po usystematyzowanej kulturą matce, cieszce — *that ist the question!*

Owóz, dziwna natura Włodzimierza, zanim weszła na pesymistyczną elipsę, przebiegała pierwiej różnorakie koła planetarne, poszukując ideału.

Namiętny temperament i cześć dla racjonalizmu, dążenia humanitarne i popęd do dziecinnej dzikości posuniętego okrucieństwa, marzenia o uszczęśliwieniu ludów i żądza panowania, szacunek dla uczuć rodzinnych i rozwiążność obyczajów; wszystko to harcowało po tej dziwnej naturze, urabiając w odwrotnym ruchu wnętrze młodego von Kramsta, do sił potrzebnych, na które liczył stary von Kramst.

Ojciec zaznajamiał wcześniej syna ze swemi dążnościami, a zdawało się, że syn nie odstrychnie się nigdy od zadań ojcowskich i wyruszy kulturträgerskim szlakiem do celu.

Włodzimierz skończywszy uniwersytet, zdał się na początek do Berlina — i tam właśnie rozpatrzywszy się w całej maszyneryi społecznej, zbankrutował na tej spuściznie ducha, którą mu ojciec przekazał.

Młodość Włodzimierza potrzebowała mieć się czego innego, Włodzimierz von Kramst wstępował też parą nóg zdrowych, energicznych, niewycieńczonych chodem, w krąg

okrucieństwa. Z jakimże to okropnym wdziękiem ten żyd rozkoszuje się śmiercią królowej na rusztowaniu!

To nie jest ów brutalny wrzask rewolucjonisty: „Na gilotyne z Austriaczką!” To daleko wytworniejsze i daleko bardziej złowrogie. Ironia tego żyda, który ma w sercu żółć przez tysiąc ośmset lat zapieczoną, rozkoszuje się widokiem tych ran krwią broczących, tych karków patrycyuszek, na których topór dokonał cięcia, na widok tej wielkiej damy, która wachlarzem chłodzi białe łono, kończące się raną otwartą.

To jest wiecznie ten sam żyd, z ową strasliwą nienawiścią, która nie pała płomieniem, a nawet zaspokojona, objawia się tylko chwilową błyskawicą szczęścia w tych oczach gazelli z akcentem semickim, tak wyrazistym a tak wstrętnym...

Obok instynktu nienawiści do wszystkiego co nas przejmowało szacunkiem i zapałem, obok potrzeby bluźnienia, rasa ta posiada niezaprzeczenie szczególnie dar pochwytania śmiesznej strony wszelkiej rzeczy wzruszającej i pięknej. Pisarze i artyści pozostają handlarzami lorynetek, ale sprzedają lorynetki specjalne ze szklami za brudzonemi lub dziwaczniemi, szklami zrobionemi na podobieństwo ich mózgu rozstrojonego, i dzięki którym wszystko na ziemi ukazuje się niekształtnem, brudnem, rozrzuconem, dziwaczem, potwornem.

Oprócz złośliwego zadowolenia, żydzi przy tej robocie nie doznają żadnej innej przyjemności. Halevy, pisząc najrozpustniejsze swoje utwory, ma przed sobą na stole rewolwer, z którego Prévost Paradol w łeb sobie strzelił. Oni ulegają pewnemu nieprzepatemu popędowi, chorobliwej drżączce, która im nie pozwala być spokojnymi i innych pozostawiać w spokoju. W Rumunii można widzieć synagogi nocą oświetlone: to żydzi przygotowują się do zaboru stolic, śpiewając i tańcząc frenetycznie galopadę z „Orfeusza w piekle”.

Taka już jest ta rasa, przeznaczona na skonanie we wszelakich epilepsyach, we wszelakich artretyzmach, we wszelakich opętaniach. Żyd wierci się, kręci się bezustannie jak ci których śwędzą liszaje, pracuje ciągle mózgiem, jak ludzie cierpiący na neurozę.

To co ja tu powiedziałem, Charcot tłumaczy innemi słowami. „Semici,—mówi on—posiadają przywilej przedstawiania w wysokim stopniu tego wszystkiego, co wynalazł artretyzm, wszystkiego co może wynaleźć neuroza i bardzo interesującemi byłyby studia nad chorobami tej rasy semickiej, która tak wielką rolę grała w świecie począwszy od starożytności aż po nasze czasy.”

Charcot ma rację że takie studjum byłoby wielce interesujące. Rozmawiając z lekarzami, nie można się dość nadziwić, jak dalece spostrzeżenia uczonych zgadzają się w tej mierze z obserwacjami socjologów.

W epokach rozkładu, takich jak ta którą obecnie przeżywamy, przeobrażają się nietylko obyczaje, nietylko

coraz to innych prądów nowatorskich i konserwatywnych, szukając we współczesnej rzeczywistości czegoś, w coby uwierzył, w czemby znalazł myśl wielką inicjatywną — i w co mógłby włożyć swą siłę przedsięwzięcą.

Na drugiej swej stacyi w pogoni za ideałem, zatrzymawszy się w Wiedniu, znowu począł się rozpatrywać na wsze strony. Znalazł tam komunały, pochwytnane po świecie, różne hasła obrzędów zachodnich, puste formułki stronnice, wiele życia, drgającego nie wiadomo czem i nie wiadomo, dla jakich celów; wszystko to, co nie zagrzewa do rycerskości, nie wykrzesuje z piersi zapału i dumy narodowej, nie stwarza wiekopomnego czynu. Wiedeń treścią dążeń, rutyną pojęć, przypominał mu Berlin; ludność tylko austriacka różniła się od niemieckiej w formie, w obrzędach; w duchu nie było różnicy.

W poszukiwaniach swoich, Włodzimierz nie ustawał: nowoczesny ten argonauta pielgrzymował od stolicy, do stolicy, od miasta do miasta, od kraju, do kraju, aż wreszcie uwiązał na dłuższy czas w Paryżu.

Sam nie wiedział dlaczego z tej stacyi nie poszedł dalej. wiedział jednak że i we Francyi nie znajdzie tego, czego szuka, bo od razu zrobił odkrycie, że wszystko, czego się tu dotknął, było czerze, płaskie, warcholskie nawet, nie miało ducha, który wskazuje drogę do wyraźnego, a wspianego celu.

(d. c. n.)

poglądy na życie, ale choroby nawet zmieniają swój charakter.

Reumatyzm naprzykład zastąpił u nas scyatykę, która coraz bardziej zagnieżdża się w Anglii; choroba cukrowa, prawie nieznaną dawniej, wzrasta się z każdym rokiem i połączona jest z objawami nerwowymi, których dawniej nie znała. Największemu atoli przeobrażeniu uległy choroby specjalnie żydowskie. Obok a częstokroć zamiast wysypki naskórnej, objawiają się one w napadach nerwowych. U wielu semitów pewien rodzaj charakterystycznej... wysypki, można powiedzieć, przeniósł się do mózgu. Dawniej drapali się tylko, teraz czują potrzebę kręcenia się ciągłego.

Ludzie ci, dręczeni niepokojem, którego nie ukoić nie jest w stanie, wciągają w końcu innych w swoją sarabandę, zarażając najspokojniejszych swoją ruchliwością bezładną. Rada nie rada Europa musi iść za ich przykładem.

Wszystko ostatecznie ma zlikwidować wojna, ona ma zawyrokujeć który naród jest najbardziej chory, wskazać który którego ma pożreć, jak w wiekach pierwotnych, w dzikich lasach, gdzie silniejsi wytepiali słabszych.

Naprzeciw retora, wynoszącego dobrodziejstwa cywilizacji i wysławiającego rok 89, który rozpoczął erę braterstwa i pokoju, staje fakt i brutalnie policzkuje mówcę.

Przed rokiem 89 wojsko we Francyi liczyło 10,000 ludzi. Żołnierzami byli tylko ci, którzy chcieli, którzy lubili wojnę, a te małe armie, dobre do zdobywania laurów, prowadziły małe wojny, które nie groziły nigdy bytowi żadnego narodu.

Dzisiaj siły wojenne Europy na stopie pokojowej wynoszą 3,092,000 ludzi, na stopie wojennej 16 milionów, a summa wszystkich budżetów wojennych wynosi półczwarta miliarda.

Po zastosowaniu nowych ustaw stopa wojenna wynosić będzie 19 milionów ludzi.

Policzek Faktu nie jest w stanie zmieścić retora, bo republikanin nie jest człowiekiem myślącym, rozumującym, szukającym prawdy i głoszącym ją, — to instrument, katarzynka wygrywająca arye cywilizacji...

Doznawszy silnego kopnięcia, instrument zatrzymuje się na chwilę, jak po rzeziach z r. 1870; potem żyd płaci od naprawy nadwyreżonej nieco korby i katarzynka zaczyna dalej dudlić swoje arye: 1789. Postęp, miłość zastępująca nienawiść między narodami.

Czasami żyd dorabia wiersze do tej muzyki i krzyczy tak jak Ferdynand Goldschmidt, autor poezyj: „Zmyślenie i rzeczywistość”, rodem z Wiednia, jak twierdzą „Archiwa izraelskie”:

„Chwała ośmdziesiąt dziewiętemu, erze wyzwolenia,
„Błogosławieństwo technieniu oczyszczającemu...”

Zabawna to jednak rzecz, że żydzi austriaccy sławią we Francyi r. 89, podczas gdy u nas wszystkie istoty wolne, czy to należące do kwiatu inteligencji, czy do proletaryatu, jednozgodnie przeklinają chybną Rewolucję, która przyniosła nam tylko panperyzm, hańbę i ruinę.

Naszą rzeczą jest, rzeczą tych co nie należą do cechu katarzyniarzy, zbadać widnokrąg i wykazać czem będzie przyszła wojna, wojna nieunikniona.

Gdy wybije fatalistyczna godzina wielkiej rzezi, ujrzemy takie rzeczy:

Uruchomiać! Uruchomiać! — plyn elektryczny, po niezliczonych drutach zaniósł w najodleglejsze zakątki Gallii i Germanii rozkaz strasliwy, który jest wyrokiem śmierci dla tysięcy istot ludzkich. Do bronii! do bronii! odpowiadają miliony piersi gallijskich i germańskich.

W kilka godzin potem żwawi jeźdźcy siedzą na koniach i rzucają się od granic. Marsz! marsz! co koń wyskoczy! Uderzają jedni na drugich, ostatni żołnierze dawnych bojów epicznych!

Marsz, marsz!... chwila wasza będzie krótka... gdyż za wami podążają i szykują się karabiny i działa nowoczesne... i wielki Bój Nowy rozpocznie się niebawem...

Kilka dni wystarczyło.—Pośpieszne maszyny, zaprężone do długich pociągów wojennych, po obu stronach granicy nagromadziły groźne bataliony i strasliwe działa czarne.

Pułki, brygady, dywizye, korpusy, armie, przedstawiające przedtem ułamki rozrzucone, zlały się w jedno.

Ludzie uginają się pod ciężarem metalowych ładunków, jaszczyki wypchane są pociskami, furgony przepełnione narzędziami, obuwiem i żywnością. Ambulanse czekają pod znakiem krzyża krwawego.

Oddech ludzi i koni sprawia szum, podobny do oddalonego szumu fal. Wyziewy unoszące się z tych ludzi

natłoczonych i z tych spoconych zwierząt, ustępują w górę i przesłaniają błękit nieba.

Kilka kilometrów odziela Gallów od Germanów.
Ten ranek, to dzień boju...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PAN PUŁKOWNIK W DERKAŁACH.

przez
Wincentego hr. Łosia.

(Dalszy ciąg.)

Kasztelanowa mówiła półsłówkami, a ja uważnie słuchałem, aby się połapać w tej łataninie przedmiotu, który mi był prawie obcym.

— Albo z tym krzyżykiem! Po Anastazowej odziedziczył i jej kosztowności; był tam bardzo ładny krzyżyk brylantowy z weneckim łańcuszkiem. Proszę cię, dopiero się dziś dowiaduję, że go dał tej... jakże tam?... a ja chciałam, by go dostała Urszulka.

Po przerwie, znów mówiła.

— Tak... tak... tak... ładny krzyżyk... ha! co robić?... bzik!...

Kasztelanowa uderzyła się lornetką w czoło i zamilkła.

— Albo wyobraź sobie — zaczęła — co on tutaj wyprawiał, nim przyjechałam!... awantury!... *des folies!*... nigdy byś nie uwierzył...

— Cóż takiego?

— Wystaw sobie! musztrę odbywał; musztrował służbę, ludzi, parobków. Pola w największym zaniedbaniu, a tu musztra... wystawił wieżę, którąś widział zapewne, a którą ja z panem Albertem nazywamy „głupstwem pana pułkownika“. W tej wieży były niby więzienia i codzień, razem z tym waryatem adjutantem, zamykał to ekonom, to fornala... *des folies!*

Śmiałem się z całego serca.

— Któż to ten adjutant? — zapytałem.

— Albo ten adjutant! — zawołała znów kasztelanowa — adjutant, adjutant, którego przy sobie trzyma od Bóg wie odkąd — od wojny węgierskiej. Z powodu tej musztry, mówię ci, musiałam bratu zagrozić, że wyjadę w tej samej chwili, w której się o jednym jeszcze dowiem ćwiczeniu. Pomyśl tylko... gdyby się dowiedzieli? Przestraszył się i zaprzestał.

— Pięknie zaprzestał! — pomyślałem, nie przerywając kasztelanowej, która i tak mówiła półsłówkami, i więcej z min jej, oczu i z giestów, niż ze słów, mogłem się domyślić. Bo staruszka mówiła całą twarzą, której drobne rysy były nadzwyczaj wyraziste. Że zaś wyobrażenia jej bardzo szybko biegła, a mówiąc po polsku z trudnością odpowiednio znajdowała słowa, więc pomagała sobie uśmiechem, oczami i nawet małym noskiem, który także miał swój wyraz.

— Tak... tak... tak... pomyśl sobie, mnie tutaj nie wolno mówić po francuzku, a ja całe życie tylko tym językiem mówiłam. Wystrzegaj się kuzynek, a zauważyłam że masz bardzo piękny akcent, — bo zarazby cię wydziedziczył... Ustępuję... ustępuję we wszystkim, byle tylko utrzymać moją powagę w pewnych rzeczach, i wiesz?... on, choć sobie major i pułkownik... on się mnie boi... mówię ci... drzy przedemną... ale, z drugiej strony, on, tak jak Anastazy, jak był i Marceli... furyat!

Kasztelanowa urwała, bo z drugiego pokoju dochodziły gwałtowne głosy zawziętej kłótni. Nadstawiłem uszów, lecz głosy nie były mi znane.

— Ot... — zawołała kasztelanowa, uderzając się w kolano — nieszczęście!

— Co? — zapytałem przestraszony.

— Przyszedł kanonik i kłóca się z panem Albertem! Jak się kłóca! — dodała z uśmiechem zadowolenia.

— Ale o co?

— A prawda!... ty nie wiesz... tu ciągle tak idzie. Bo widzisz, pułkownik demokracja, a kanonik jest konserwatyści... pan Albert jest zwolennikiem, w poezji, szkoły dawnej, wiesz, Molière... Corneilla, a kanonik znów jest idealistą-romantycznym.

Kasztelanowa wstała i wybiegła; ja za nią.

Dziwny widok przedstawiał się w dużej sali jadalnej. Po jednej stronie, z laską i w futrze jeszcze na sobie, chodził niski, poważny o sympatycznej twarzy ksiądz, a po drugiej pan Albert, w swym półcylinderku, kusym paltociku, latał jak szalony, wywijając rękami.

Nie zważali na nas, bo nawet nas, w ferworze dysputy, nie zobaczyli.

Kanonik stanął przed panem Albertem i, podnosząc na niego swe oczy z pod okularów, zawołał.

— I waćpan śmiesz twierdzić, że Brodziński?...

— Brodziński nieuk! — krzyknął pan Albert.

— Koźmian błazen! — odparł ksiądz i, stuknąwszy grubą lagą, zaczął znów chodzić po pokoju.

Po chwili pan Albert zagroził drogę kanonikowi i, spoglądając na niego z ironią, zapytał.

— I ksiądz kanonik może to twierdzić, że Koźmian...?

— Błazen! — huknął ksiądz i ruszył dalej, zostawiając pana Alberta, który ogłupiał, groźne na księdza rzucił wejrzenie i zawołał.

— Brodziński! Mickiewicz! nieuki!

— Koźmian i waćpan, za pozwoleniem, jesteście błazny! — odparł kanonik i podniósł lagę.

Parsknąłem śmiechem, i dopiero wtedy nas zobaczyli.

Pan Albert przyskoczył do kasztelanowej, a kanonik, zdjawszy futro, opuścił się na najbliższe krzesło, ocierając pot z czoła.

Milczenie, po zawziętej dyspucie, w której się obaj przeciwnicy zmęczeni, trwało dosyć długo; nareszcie wróciliśmy do salonu kasztelanowej, gdzie urwana rozmowa wszczała się znowu.

Już się zmierzchało, gdy wniesiono kawę, a oblicze pana Alberta wypogodziło się zaraz.

Tacę z kawą i garnuszkami postawiono przed kasztelanową, która rozlewała, a stary lokaj ją roznosił.

Przystąpiono do picia i nikt się nie odzywał. Stary lokaj tymczasem rozniecał ogień na kominie, który wnet rozjaśnił pokój. Mimo to odezwał się kanonik.

— Żebyś to kochanku przyniósł lampę!... kawa wysmienita... ale ciemno... dzień coraz krótszy...

Za chwilę wniesiono i lampę.

Kasztelanowa, która już dawniej zaczęła była mi opowiadać jakąś historię o senatorowej i kasztelanie z czasów dawniejszej świetności towarzystwa warszawskiego, nie mogła jej skończyć. Co chwila coś jej przerywało, a ilekroć nastąpiła przerwa, zaczynała na nowo, powtarzając cały ostatni ustęp, od oficjalnych: — Tak... tak... tak...

Po skończonej kawie, zapanowała cisza, będąca wymownym dowodem siesty.

Wszyscy siedzieli wygodnie, zagłębieni w fotelach.

Kasztelanowa bawiła się długim włosom popielatego pinczera, a tłusty mops, będący rzadkością w owych czasach, nie mógł sobie znaleźć miejsca wygodnego na chudych kolanach pana Alberta.

— Możeby nam pan Albert co odczytał — odezwała się kasztelanowa.

— Bardzobym pragnął... — wtrąciłem, widząc, iż pan Albert zachęty odemnie żądał.

— Tereferel — dodał tylko kanonik.

Pan Albert zaraz wstał, z powagą posunął się ku kominowi, zapalił dwie na nim świece, wyjął z kieszeni od surduta rękopis i stojąc tyłem do światła, a frontem do nas, chrząknął kilkanaście razy.

Kasztelanowa z kanapy przeniosła się na fotel stojący bliżej pana Alberta. Kanonik z krzesłem nieco się obrócił w jego stronę. Ja także poszedłem za ich przykładem.

Pan Albert silniej chrząknął i zaczął:

— „Zdobycie Troi!“

— Tak... tak... tak... — wtrąciła kasztelanowa — raz pamiętam w Warszawie, przyjechał ten sławny, co to wiesz... no, ten poeta, co go tak lubiał Stas Grubowski...

Byłaby dłużej kasztelanowa mówiła, ale pan Albert donośniejszym głosem powtórzył:

— Zdobycie Troi!

— No czytaj panie Albercie! słuchamy.

Pamiętam doskonale minę i głos pana Alberta pełen patosu i przejęcia się, jak pamiętam pierwsze dwa wiersze tego poematu.

„Tysiące ludów stanęło pod murami Troi
„Której się jednak Achill nie boi!“

Pan Albert czytał, czytał z dobrą godzinę już, a myśmy słuchali.

Czasem kasztelanowa przykładła lornetkę do oczu, przypatrywała się poecie i potwierdzała głową jego myśli i wiersze.

Czasem kanonik niecierpliwiej puścił w młynek swoje dwa duże palce u założonych rąk i ziewnął przeciągle.

Pan Albert potaczał oczami po nas, śledząc czy uważnie słuchamy i dalej czytał.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NA POSTERUNKU.

Niepodziewane wydarzenia spadające na głowy polityków warszawskich. Jak sobie poradzą? — Sprawy miejscowe i sprawa asymilacji. — List jednego z kapłanów w „Przeglądzie Katolickim”. — Tłum katolików ciągnący do bóżnicy żydowskiej! — Ciekawość i „podnoszenie ducha”. — Inne jeszcze owoce trudów asymilacyjnych. — Pewna starozakonna sprawozdawczyni, pewnego kurjerka i jej wziętość w sferach arystokratycznych. — Opisy wdzięków i tualet balowych. — List hrabiny Iks. — Coby na to powiedziały „młodsze” i „podmłodsze” naszych pań z „towarzystwa”. Zacofanie — postęp i — asymilacja.

Już teraz nic a nic nie wiem, jak sobie poradzą nasi, jedyni w swoim rodzaju i nieporównani politycy warszawscy. Tyle naraz i to takich wydarzeń, których oni, choć z namaszczeniem opowiadają nam o swym duchu proroczym, nie przewidzieli! I wybór Boulanger'a, i nagły zgon następcy tronu austriackiego, i zaburzenia na Węgrzech, i wszystko to razem z waliło się na uginające się pod ciężarem wielkich myśli i wielkich zadań wszechświatowych, głowy naszych mężów od „działów politycznych”. Biedni! — oni już i tak mozolą się, z dnia na dzień, nad urządzaniem Europy, a tymczasem przybywają im, co chwila, nowe niespodzianki i nowe powikłania. Bądźmy jednak spokojni. Nie darmo księżę Bismark, oraz inni mężowie stanu, oglądają się na to, co powiedzą w danej kwestyi, dzienniki polityczne w Warszawie, aby można było przypuszczać, że tym razem spotka ich zawód. I gdyby nawet wszyscy inni politycy nasi prasowi potracili głowy, to jestem przekonany, że nasz dzielny „dyrektor polityczny” z „Codziennego” — będzie wiedział co zrobić. Zanurzy on swą „warząchew” w „dyabelskim kotle dyplomatycznego kręactwa”, wydobędzie ztamtąd wszystkie „męty rozkiełzanego obskurantyzmu” i „rozbrykanego warcholstwa”, odrzuci je przez z właściwym sobie tylko „impetem” — i... wszystko będzie dobrze.

Bądźmy tedy o sprawy wszechświatowe spokojni, a, uspokojeni — przejdźmy do miejscowych, zśród których zajmowała mnie zawsze i zajmuje szczególnie sprawa asymilacji z synami Mojżesza, czyli, mówiąc językiem asymilacyjnym z „synami jednej ziemi”. Ile razy też i gdziekolwiek spotkam objaw postępu w tym kierunku, obwołanym przez naszych „publicystów” za jedynie zbawienny, — nie zaniedbuję go podnieść i zaznaczyć ku zadowoleniu tychże „stróżów i kierowników dobra społecznego”. A właśnie mam fakt, wobec którego asymilatorowie nasi powinni by zawołać: aureka! — wyrzucić czapki w górę i zaintonować wielki hymn radosny — asymilacyjno-braterski, a więc hymn... na nutę — *majufesu*.

Czy ów organista jednego z naszych kościołów, o którym już pisałem, a który po skończeniu nabożeństwa w tymże kościele, biegł przygrywać żydkom w bóżnicy na Tłomackiem, pełni jeszcze i dzisiaj tę funkcję asymilacyjną — nie jest mi dokładnie wiadomem. Ale co już nie może chyba ulegać wątpliwości, to fakta, jakie jeden z kapłanów naszych podaje w swym liście, pomieszczonym niedawno w „Przeglądzie Katolickim”. Smutne, to wprawdzie i bolesne, co w liście tym czytamy, lecz tylko dla wsteczników nie umiających, ani swych pojęć, ani swej etyki chrześcijańskiej przystosować do etyki i pojęć judaizmu. Asymilatorowie natomiast i wszelakiego rodzaju toleranci wołający od lat tyłu i w tyłu różnych pismach: tolerujmy ich nietolerancję — niechaj się rozradują...

Posłuchajmy zresztą co nam czcigodny kapłan opowiada:

W mieście, w którym on mieszka, istnieje od dwóch blisko lat, na jednej z porządniejszych ulic, nowa synagoga żydowska wyróżniająca się tem od innych bóżnic, że — urządzona po wielkomięjsku — odznacza się wystawą, rzęsiem oświetleniem, a nadewszystko pięknym śpiewem solowym jakiegoś żydka. Ponieważ jednak bóżnica arystokratyczną brzydzą się żydzi prawowierni, przeto zapełniają ją rzęsz — no zgadnijcie jakie? Zapełniają tę nową synagogę żydowską rzęszka t o l i k ó w ! „Chodź pan, chodź!” — mówią żydzi zapraszając do bóżnicy nowych prozelitów. — „U nas więcej bywa w a s z y c h niż n a s z y c h”. I biegają zapraszani...

„Przechodząc ulicą przy której stoi synagoga — pisze autor listu — ze wstydem ismuckim spostrzegłem, iż większa część dążących do bóżnicy, składała się z katolików; nie brakło tam bogatszych i należących do inteligencji, dążyły fiakry, nadciągały karety. Odpust, formalny odpust!”

„Myslałem, mówi dalej autor listu, że się z tem oswoją i dadzą spokój. Bynajmniej! Liczba amatorów zwiększała się; każdy frycyk uważał sobie za obowiązek najprzedniejszej grzeczności wprowadzić swoją damę do sympatycznej

synagogi, a przyjeżdżający do miasta, pierwaj zanim zdołał wypocząć, bywał tam pociągany”.

Nic tedy dziwnego, że czcigodny kapłan „na widok tak bezmyślnego postępowania swych braci, uczuł wielkie upokorzenie” i gdziekolwiek, kiedykolwiek mógł, wypowiadał oburzenie swoje.

— Chodzimy przez ciekawość — tłumaczyli się ci szczególnie goście synagogałni, — a ciekawość nie jest przeciw grzechem. Znalazła się atoli „osoba, która wyznała, że śpiew w synagodze, dziwnie ją podnosi na duchu”!

Powtarzam, asymilatorowie nasi, faktem powyżej opisanym, mogą tylko przyklasnąć — ich cel osiągnięty. Oni tak już — i słowem żywym, i słowem drukowanym i całą pseudo-liberalną propagandą swoją zdołali zgnębić w społeczeństwie poczucie swej godności, a najrozmaitszemi „taranami” rzekomego „postępu”, tak zmiażdżyć wszelkie uczucia szlachetniejsze i pierwiastki duchowe, że są już nareszcie „osoby”, które dla „podniesienia ducha” udają się aż do... synagogi.

Ten tłum „inteligencji” polskiej, katolickiej — objawiający tak manifestacyjnie swój zachwyt, dla bóżnicy żydowskiej i pod pokrywką „prostej ciekawości” poniewierający tak bezwstydnie swą wiarę, toć to owoc trudów asymilacyjnych, — a owoców takich, mniej lub więcej podobnych, już dziś nigdzie nie brak.

Posłuchajcie bo znowu. Jest w pewnym mieście naszym pewna starozakonna sprawozdawczyni, jednego z kurjerków. Jeneralna to i kompetentna sprawozdawczyni od wszystkiego, nie wyłączając wystaw starożytności i wystaw inwentarza, wystaw higienicznych i wystaw sztuk pięknych, przedstawień teatralnych i koncertów różnych śpiewających czy grających „znakomitości”. Najważniejszą wszakże jej specjalnością są sprawozdania z balów. Opisuje ona, w sposób wielce ciekawy, wdzięki nadobnych uczestniczek tych balów, i ich — tualety — i z tej właśnie racyi w najbardziej nawet arystokratycznych i dystygowanych kołach towarzyskich, nieunikniona współpracowniczka kurjerka cieszy się niesłychaną wziętością ba... nawet poważaniem. Najpierwsze damy z „towarzystwa” — szczęściem nie wszystkie jeszcze — najformalniejsze składają jej hołdy, a gdy „ceniona wielce” jej osoba ukaże się na balowej sali, hrabiny i księżne, wnuczki lub prawnuczki dawnych hetmanów i kanclerzy, biegną naprzeciw niej z otwartymi ramionami, opsypują komplementami i obcałowywują na wsze strony „czcigodną panią” — Fajgę. Arystokratycznego powonienia tych pań nie razi nawet zapach czosnku, choć gdyby im się wypadło zbliżyć do poczciwej jakiej polskiej szewcowej — raziłaby je niezawodnie „nieprzyjemna woń” — skóry.

— Ja już — skarży się sprawozdawczyni przed znajomymi — z temi księżniami i hrabinami, nie mogę sobie dać rady. Ani im się opędzić! Tak mnie nagabują, tak proszą i tak molestują żeby o nich pisać!...

I współpracowniczka kurjerka mówi prawdę tym razem. Jeszcze trzy dni do balu, a już uliberyowani, o srebrnych, złotych guzach lokaje, znoszą jej wonne — umitrowane liściki. Z powagą i uśmiechem zadowolenia, roztwiera jeden z nich pani Fajga i czyta.

„Czcigodna Pani! Pojutrze córka moja wstępuje w świat — będzie na balu. Czcigodna, dobra Pani! „zacnej twojej protekcji i opiece, powierzam los mego „dziecka... Wspomnij o mej córce przychylnie i wyjróżniając, proszę, błagam Cię o to. Będzie ubraną i t. d.”

Tu następuje szczegółowy opis tualety córeczki! „wstępującej w świat”, a wreszcie podpis:

„Z najprawdziwszym szacunkiem i najszczerzą „przyjaźnią”
Hrabina Iks”.

I dumną jest z tego wszystkiego „czcigodna pani” Fajga — i dziwić się pysze jej nie można. Toć ona wie że nie już zwykłe, lecz ceniące swoją godność, szlachcianki, ale nawet „młodsze” i „podmłodsze” tych pań z „towarzystwa”, nietylko mniej „ucywilizowanej” rodzicielki sprawozdawczyni, ale i jej samej nie utytułowałyby niezawodnie „czcigodną”.

— Żydówka — ta... i żydówka — orzekłyby krótko węźłowato.

A gdyby sprawozdawczyni zechciała publicznie w Kurjerku reklamować wdzięk tych „młodszych” i „podmłodszych” — odpowiedziałyby jej znowu:

— Et, niech nam tam kupcowa da spokój! A co nam to po tem! — alboż my nie mamy — wstydu?

Tylko że te owe „młodsze” i „podmłodsze” to niewiasty jeszcze zacofane! one nie pojmują co to jest „postęp” warszawski i co to — asymilacja...
Kamieny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Międzynarodowa biblioteka dzieł kobiecych.—Jej inicjatorka, przewodnicząca i protektorki. — Marne zarzuty zatwardziały zwolenników płci brzydkiej Zimna krew panny Lee i co o tem mówią zacofane.—Epoka kobiet stalowych. — Mormoni i mormonki. — Rządy kobiece. — Ludwik Coulin. — Kuba Rozprómacz we Lwowie. — Pocięcha dla Warszawy.— Katastrofa wiedeńska.

Nareszcie jestem tyle szczęśliwy, że mogę zanotować pełen doniosłości fakt z dziedziny rewindykacji praw pokrzywdzonej płci pięknej, przytoczyć dowód żywotności emancypacyjnego ruchu i uderzyć czołem przed energią tych, które dotąd słabą połową rodzaju ludzkiego świat nazywać przywykła.

Oto powstaje: „międzynarodowa biblioteka dzieł kobiecych“!...

Myśl tę rzuciła nasza rodaczka, panna Wolska, zamieszkała w Paryżu; godność przewodniczącej i protektorki przyszłej instytucji, przyjęła królowa rumuńska, znana w literackim świecie Carmen Silva; matadorki pióra i stanowiska społecznego, między którymi wybitne miejsce zajmuje wice-hrabina Tanaka, żona ambasadora japońskiego w Paryżu, skwapliwie przyrzekły poparcie przedsięwzięcia i ofiarę z dzieł swoich. Organizatorką — posada nieznaną w instytucjach płci brzydkiej — zamianowaną już została panna Julietta Guy; a kasyerem — rzecz niepojęta!... — będzie pan Steiner Dolfuss!... To zupełnie tak wygląda, jak gdyby ozdoby, kwiaty żywota naszego, dobrowolnie z zakresu swoich zajęć wykreślały arytmetykę i odpowiedzialność za powierzone swojej pieczy fundusze...

Robota idzie żwawo, z zapalem (poczęła się zaledwie przed paru tygodniami), po kobiecemu. Materyały się gromadzą, pociągi kolei żelaznych pocą się pod ciężarem dzieł niewieścich, nadsyłanych ze wszystkich końców świata; jeden nawet pękł nieborak—nie wiadomo czy zgnieciony ciężarem doniosłości skarbów wieszonych, czy rozsadzony wydobywającymi się z nich wyziewami mądrości.

Cały ten kram... przepraszam, chciałem powiedzieć: cały ten wspaniały zakład ma być gotowy przed wystawą jeszcze paryżką, żeby cały świat znalazł sposobność podziwiania wielkości geniuszu tej swojej lepszej połowy, którą dotąd w zatwardziałym zaślepieniu swoim považał się lekceważyc.

Wzruszacie ramionami, o brzydkie egzemplarze istot dwunożnych nieporosłych pierzem, i pytacie się dwuznacznym tonem, jaki cel tej wielkiej instytucji? O ciasne głowy! a toż oczywiście nie innego, tylko konkretne, dotykalne zestawienie dowodów potęgi umysłu kobiecego, mające poprzeczyć uzasadnione pretensje naszych władczyń do zajęcia wszystkich stanowisk, do których dotąd, z krzywdą szczęścia ludzkości, wzbraniano im przystępu.

Mówicie z ironicznym uśmiechem, że same kobiety, ograniczone wyłącznie do czytania dzieł z tej przyszłej międzynarodowej biblioteki, po pewnym czasie pochorowałyby się z cikliwości i niesmaku?... Otóż fałsz wierutny, zarozumiałość, impertynencya i nic więcej! bo jak tu mówić o niesmaku tam, gdzie się znajduje zapewne i „365 obiadów za 5 złotych“!...

Nie! nie buntujcie się, nie wysilajcie daremnie na opór. To się na nic nie przyda. Za długo graliście rolę tyranów; teraz inni—właściwie inne—przychodzą na wasze miejsce, a wam nie pozostaje nic innego, tylko zdecydować się na rolę niewolników a pamiętać o tem, że pod tyranją nowego autoramentu niewola tem się okaże łagodniejszą, im niewolnik będzie potulniejszym — no, i przystojniejszym oczywiście...

Starajcie się więc tylko być potulnymi i przystojnymi, a wszelka możebna reszta będzie wam dana.

Chępcie się swoją siłą fizyczną i moralną?... Frazesy, młodzi panowie, frazesy puste i bezzasadne! A któryż to z was zdobyłby się na taką siłę, jakiej złożyła dowód śpiewaczka teatru Wielkiego w Glasgowie, miss Rosa Lee? Zdarzyło się, że podczas jednego aktu opery spadł w głębi sceny z wysokiego rusztowania jeden z chórzystów i zabił się na miejscu. Panna Lee, która właśnie śpiewała wielką arję, spostrzegła co się stało, ale nie przerwała arji, głos jej nawet na chwilę nie zdrzął; tylko przysunęła się bliżej rampy i tak umiała skupić na sobie uwagę publiczności, że zdołano trupa nieszczęśliwego niepostrzeżenie usunąć ze sceny...

Wy wolelibyście, żeby artystka była krzyknęła przerażliwie, zemdląca, bodaj dostała palpitacji serca; twierdzicie że to byłoby po kobiecemu, podczas gdy niesłychana zimna krew panny Lee wygląda nawet trochę nie po ludz-

ku?... Gadajcie sobie zdrowi! Tak jak wy chcecie byłyby zrobili tkliwie, wulgo słamazarne i zacofane wasze prababki, babki, matki może jeszcze; ale co innego kobiety dzisiejsze, czujące swoją godność i rozumiejące swoje posłannictwo. Ho, ho!... Spytajcie waszych sióstr i córek...

Wyperswadujcie sobie raz na zawsze, że żyjemy w epoce kobiet „stalowych“; — w razie potrzeby posiadają one twardość stali hartowanej, a w innych razach znów umieją naginać się jak sprężyny stalowe. Mamy tego świeży przykład.

Te szkaradne Yankesy, pozwolili wygodnie pocziwym Mormonom osiedlić się w zachodnich prowincjach Kanady, ale pod warunkiem, że się wyrzekną wielożeństwa. Nie było co robić, trzeba się było zastosować do konieczności; od-tąd każdy mormon ma tylko jedną żonę, — ale za to ciotek co się zmieści. Wszystkie mormonki zgodziły się bez wyrzekania na tę zmianę dekoracji, i żyją sobie równie zadowolone i szczęśliwe jako ciotki mormońskie, jak dawniej żyły jako małżonki. Tylko wyższe organizacje zdołają się z takim wdziękiem nakłonić do wymagań konieczności.

A!... na seryo, bodaj już raz rządy tego świata objęły kobiety, i zastąpiły tych niedołęgów mężczyzn, którzy już do niczego nie są zdolni, chyba do tego żeby być dziwadłami przyrody, jak ów giser z Mont-Luçon, Ludwik Coulin, który ma wysokości 1 metr 59 ctm., a brodę ma długą na 2 m. 32 ctm!... Na takie brody, to ich jeszcze stać, ale na to żeby schwytali „Kubę Rozprómacza“, to już nie! Plemię tego krwawego operatora tak się rozmnożyło, że jeden z jego potomków, nie wiem w jakiej tam już linii, zapowiedział swoje występy we Lwowie. Całe szczęście że w Warszawie jegomość ten nosa nie pokaże, bo wie, że tu-tejsi „rozprómacze kieszeni“ z pewnością by mu życie zatruli.

Tem się pocieszam i czekam niecierpliwie na erę panowania płci slicznej.

Katastrofa wiedeńska samym faktem swoim, rzuciła cień tragiczny na całą Europę; cóż dopiero, gdy się jej przyjrzymy w świetle towarzyszących jej szczegółów.

Śmierć arcyksięcia Rudolfa nastąpiła w Mayerlingu, zamku jego myśliwskim niedaleko Badenu. Zrazu, urzędowa wersja wiadomości mówiła o paraliżu serca; ale już na-zajutrz, również ze strony urzędowej, przyznano akt samobójstwa. Jak zwykle w takich razach, opinia publiczna nie wierzy ani w jedno, ani w drugie i tworzy dokoła tego, tajemniczego w każdym razie zgonu legendy, jedne faustyczniejsze od drugich.

Tymczasem rzeczywistość, według ostatnich, wiarogodnych niby informacji dzienników wiedeńskich, nie wiele ma do pozazdrosczenia tym legendom. Według niej, arcyksiążę wyjechał z Wiednia we Wtorek do Mayerlingu mocno wzburzony rozmową, jaką na odjeździe miał z ojcem i żoną. Przedmiotem jej był głównie jego więcej niż bliski stosunek z księżniczką Auerspergówną, który, obok innych jeszcze, kazał mu zaniedbywać żonę.

Przyjechawszy do Mayerlingu arcyksiążę rozesłał zaproszenia na polowanie mające się odbyć nazajutrz, przy wieczery, którą jadł z hr. Hoyosem, pił więcej niż zwykle, potem poszedł do dworku jednego ze strzelców, w którym mieszkała jedna z jego ulubienic, sliczna bertonówna Vecsera, i tam zabawił godzinę. Wtem drugi strzelec, który był tej nocy na straży zabudowań zamkowych, chcąc się z kolegą rozmówić o jutrzejszym polowaniu, począł się do bijać. Arcyksiążę, usłyszawszy to, wyskoczył oknem i począł biedz. Na ten widok, strzelec, sądząc że to złodziej, strzelił i trafił arcyksięcia w szyję, powyżej ramienia. Arcyksiążę padając dał się poznać, i przerażonemu strzelcowi kazał się odprowadzić do zamku. Niefortunny sługa atoli tak głowę stracił, że rannego zaprowadził napowrót do dworku, z którego wyskoczył.

Tu panna Vecsera, ujrzawszy skrwawionego arcyksięcia, i sądząc że zabity, zażyła trucizny od której na miejscu padła i pochowano ją w Heligenkreuz. Arcyksiążę odprowadzony nareszcie do zamku, wdział szlafrok, lokajowi powiedział że mu krew szła, kazał odwołać jutrzejsze polowanie i drzwi zamknął na klucz. Wtedy postawił przed sobą zwierciadło i przyłożywszy rewolwer do prawej skroni, pociągnął za cyngiel.

Przynajmniej nazajutrz znaleziono go z przestrzeloną na wylot głową; dziwna tylko że kuli dotąd nie znaleziono.

Taka jest ostateczna, ni by autentyczna wersja; — na autentyczność jej jednak przysięgać jeszcze nie można. Prawda, wcześniej czy później, wyjdzie na jaw zapewne, ale kiedy to nastąpi, zgadnąć trudno, a w każdym razie pewnym być można, że szczegóły jej, jeśli nie powiększą,

to nie zmniejszą z pewnością grozy tego tajemniczego zgonu, którego cień zmorą legł nietylko na Austrii, ale na całej Europie i jej polityce.

Dopiero gdy się rozjadą tłumy cisnące się ciała arcyksięcia, gdy przeminie wspomnienie pogrzebu, skromnego w zasadzie, ale wspaniałego olbrzymim udziałem ludności, która mu towarzyszyła — wtedy, inne sprawy europejskie odzyskają głos i znów wyjdą na widownię publiczną.

Kronikarzowi z „Roli“ nie pozostaje już nic innego, tylko zmówić „wieczne odpocznienie“ dla duszy, bądź co bądź nieszczęśliwego człowieka, któremu świat cały zazdrościł, kiedy on nosił w sobie śmierci zarody.

Bożel bądź mu miłościwi!...

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA Krajowa i Zagraniczna.



Ś. p. Ignacy Domejko. Prawie już w chwili od dawania na prasę numeru poprzedniego, doszła nas smutna wieść o zgonie ś. p. Ignacego Domejki; podaliśmy ją też w krótkości. Teraz pospieszamy uzupełnić poprzednią wzmiankę kilkoma choćby słowami wspomnienia o tym starcu, którego imię tak silnie jest związane z imieniem Adama Mickiewicza i tak szeroko znanem po świecie. Ś. p. Ignacy Domejko urodził się w r. 1802, we wsi Niedźwiadek, pod Grodnem. Na uniwersytet uczęszczał w Wilnie, później zaś, w r. 1831, wstąpił do szkoły górniczej w Paryżu, po ukończeniu której, w r. 1837, udał się do Ameryki Południowej, do Chili, i tam, w mieście Coquimbo, założył laboratorium chemiczne. W roku 1846 przeniósł się do Sant-Jago, dokąd powołany został do uniwersytetu na katedrę chemii, fizyki i mineralogii, a otrzymawszy w tymże uniwersytecie godność rektora, piastował ją przez długie lata. Ś. p. Ignacy Domejko pracował wiele i o wynikach swoich badań pisał również wiele w miejscowych, t. j. amerykańskich, pismach fachowych. Obok wszakże tego z pod pióra uczonego ziomka naszego wyszły i rozprawy obszerniejsze, np. po hiszpańsku: „Elementos de Fisica experimental“, „Elementos de Meteorologia“, „Introduction al estudio de las ciencias naturales“, — po polsku: „Traktat probierczy“, opis podróży z Paryża do Chili i wspomnienia z czasów uniwersyteckich zatytułowanych: „Filareci i filomaci“. Wyszła też w przekładzie na język polski jego rozprawa p. t.: „Arankania i jej mieszkańcy“. Cześć pamięci zacnego starca i niestrudzonego pracownika na niwie rzetelnie naukowej!

Replika na replikę. Od autora artykułiku zamieszczonego w N-rze 1-szym „Roli“ z r. b. p. t. „Słuszny głos“, odbieramy odpowiedź na replikę jaką z powodu tego artykułiku, nadesłał nam jeden z inicjatorów balu obywatelskiego w Włocławku, a pomieszczoną również w piśmie naszym w N-rze 3-cim. Odpowiedź ta brzmi jak następuje: „Szanowny inicjator balu obywatelskiego w W., w replice swojej, z powodu kilku słów moich ogłoszonych w N-rze 1-szym „Roli“ z r. b, zarzuca mi sprzeczność z samym sobą; pospieszam więc z wyjaśnieniem. Być może iż artykułik mój nie trafił do przekonania tych dla których był napisany, choć zdaje mi się, że trafić był powinien; przynajmniej zaś nie powinien był dać powodu do czynienia obywatelom ziemskim innych jeszcze, bezpodstawnych zarzutów, a na mnie ściągnąć zarzutu — sprzeczności z samym sobą. Powtarzam więc, że nie będąc sam młodym, pojmuję iż ludzie młodzi bawić się i poznawać wzajemnie muszą, ale pragnąłbym aby, w obecnych czasach, bawili się skromnie, w domach prywatnych. Nie powstaje więc przeciwko zabawom w ogóle, ale przeciwko różnym, huczonym i ostentacyjnym balom publicznym, a właściwie przeciwko żądzy bawienia się, która, mojem zdaniem, nawet żadnym celem dobroczynnym usprawiedliwić się nie da. Cieszy mnie zapewnienie szanownego inicjatora balu w W..., że minęły już czasy kiedy na przyjęciach prywatnych lał się szampan i kosztowne wina, oraz że skromne, choć zawsze ładne, tualety pań wyrugowały z tamtąd dawniejsze, zbyt kowne (1). Cieszy mnie to, powtarzam, ale nie przeszkadza być przeciwnym balom publicznym, gdyż wiem z doświadczenia, że nie tak nie daje sposobności do zbytku i nie tak nie budzi chęci, jeżeli już nie przewyższenia, to choć dorównania innym — jak te właśnie bale. W prywatnej zabawie łatwiej o utrzymanie pożądanej skromności, lecz na balu publicznym, w którym przyjmuje udział paręset osób, jest to rzecz trudna. Zarzuca mi szanowny pan Ch... iż niesłusznie oburzam się na panującą koteryjność i dowodzi, że nazwa balu nie stanowi o mających się na nim znajdować osobach, na dowód czego dodaje, iż na balu urządzonym przez niego „każdy człowiek przyzwoity

byłby mile widzianym — bez różnicy stanu i zajęcia“. Czy to trochę nie za śmiało powiedziane? — i czyżby szanowny pan Ch. pragnął w ten sposób dać patent nieprzyzwoitości tym wszystkim obywatelom ziemskim z naszej okolicy, którzy w zaproszeniach na urządzany przezeń bal zostali pominięci? A między nimi są przecież ludzie zajmujący bardzo wysokie stanowiska społeczne, wykształceni, poważni i poważani. Czyżby, mówię, wszyscy oni w czambuł, mieli być zaliczeni do kategorii — nieprzyzwoitych? Na inne, czynione przez pana Ch., naszej szlachcie zarzuty, jak np. zarzut wykwiniego urządzania domów, trzymania wykwinnych cugów i ekwipaży, odpowiedzieć muszę, iż mogą one odnosić się do bardzo małej liczby osób i to nie z naszej okolicy. Boć postawienie wygodnego domu, chociażby nawet z cechą pałacu lub zamczku, na miejsce walącej się lepianki czy drewnianego dworku na miano wykwiniego mieszkania nie zasługuje, a jeżdżenie czwórką bodaj najpiękniejszych kasztanów swego chowu, raczej pochwały niż nagany jest godne. A może sokoli wzrok sz. pana Ch. gdzieś dalej dopatrywał się oznak zbytku, lub znalazł karygodne przestępstwo w kupnie takich koni jak „Eklips“ lub „Goworek“? Jeżeli tak, to uważałbym, że wyrokowanie takie wyglądałoby jak gdyby ktoś z kochliwości jakiegoś smarkacza — wierszoklety, sądził o pojawić się mającym nowym geniuszu poetyckim.

Dodać wreszcie winniem, iż nie mogłem mieć zamiaru krytykowania pierwocin działalności publicznej p. Ch., gdyż pierwociny te nie ujrzały jeszcze światła dziennego, a tylko, jako były balów publicznych współorganizator, chciałem innym służyć nabytym w tym kierunku doświadczeniem. A że dawne dzieje powtórzyły się, i że moje gderanie na nic się nie zdało, to już nie moja wina!

Br. Kretkowski.

Pomnik kosztem włościan. W Kumowie, w dekanacie Chełmskim, ma być wzniesionym kosztem włościan, w miejscowym kościele, pomnik dla ś. p. ks. Jana Dymowskiego, prałata archidjakona katedry lubelskiej, który przez lat 30 był proboszczem w Kumowie. Widocznie miłość dla swego pasterza duchowego głęboką przeniknęła prostacze serca, parafian Kumowskich skoro zapragnęli wyrazić ją w pomniku. Cześć pasterzom, którzy umieją tak przywiązywać do siebie swe owieczki, cześć i tym ostatnim za ich pamięć pocziwają.

Komisya, wyznaczona do zbadania przyczyn upadku cen produktów rolnych, zebrała bardzo obfity materiał, dotyczący przesilenia w rolnictwie. Ciekawe te materiały mają być ogłoszone drukiem.

W sprawie bazaru rzemieślniczego. Delegacya, wybrana do opracowania głównych zasad według których ma powstać w Warszawie „Bazar rzemieślniczy“, skończyła już tę czynność. Opracowanie zaś bliższych szczegółów, powierzonym zostało innej delegacyi, nazwanej „delegacyą wykonawczą“. O sprawie Bazaru pomówimy niebawem obszerniej na innem miejscu, teraz wypada nam zwrócić uwagę na ową „delegacyą wykonawczą“, a właściwie na jej skład osobobisty. Obok ludzi znających dokładnie rzemieślników i ich potrzeby, oraz zajmujących się sprawami rzemieślniczymi szczerze, jest tam pewna osobistość starozakonna, która jakkolwiek z rzemiosłem nie ma nic wspólnego, zawsze, ilekroć mówi się coś o rzemiośle wtrąca swoje trzy grosze, a gdy się coś robi dla rzemiosł i rzemieślników, stara się — robić także. Że zaś robota onej osobistości starozakonnej — miewa zwykle i charakter starozakonny, t. j. że polega na protegowaniu żydów w rzemiośle, a przeszkadzaniu rzemieślnikowi polskiemu do wyzwolenia się z pod żydowskiego wyzysku, pozwalamy sobie zapytać, ażali nie byłoby pożądanym wystąpienie onej osobistości choćby tylko ze wspomnianej powyżej „delegacyi wykonawczej“, a jeżeli już nie to — to chociaż zwracanie baczej na jej robotę uwagi?

Narady gorzelników. W Warszawskim Oddziale Towarzystwa popierania handlu i przemysłu odbyła się w tych dniach w sekcji drugiej, konferencya gorzelników — rezultatem której było wybranie delegatów do uczestniczenia w mających odbyć się wkrótce w Petersburgu naradach w przedmiocie: jak i e m a j a być nadane ulgi gorzelniom rolniczym? Na delegatów powołani zostali jednomyślnie — p. p. hr. Czacki, Tadeusz Kowalski i Józef Rzętkowski. Nadto na tejsze konferencyi, wybrano delegacyą celem opracowania projektu w sprawie uregulowania handlu okowitą i ograniczenia jej produkcji.

Nowości wydawnicze. P. Stanisław Bełza, utalentowany autor wielu prac podręcznych i prawniczych, wzbogacił literaturę naszą nową książką, zatytułowaną: „Odgłosy Szkocyi“. Jest to barwny opis podróży autora po tej części królestwa wielko-brytańskiego, a z jakim czyta się on zajęciem, czytelnicy nasi mieli sposobność osądzić z rozdziału drukowanego w „Roli“ przy końcu roku zeszłego, p. t. „Niedziela w Edynburgu“.

P. Darewska-Weryho napisała świeżo dwadzieścia opowiadań dla dzieci, które zebrane razem i opatrzone tytułem „W miescie i na wsi“, oraz ozdobione 10 rysunkami p. Czesława Jankowskie-

(1) Zob. artykuł jednej z matek, w „Biesiadzie Literackiej“ z d. 16 List. 1888 r.

go, składają się na całość bardzo wdzięczną, zarówno pod względem treści jak i formy zewnętrznej.

W Kijowie, nakładem księgarni Bolesława Korewy wyszła „Gramatyka polska w ćwiczeniach“, przez panią Wiktorynę Korwinównę. O pracy tej jak i o powyżej wspomnianych, damy obszerniejszą wzmiankę pod właściwą rubryką.

Sztuki plastyczne. Matejko podjął się obecnie wykonania nowego cyklu obrazów na tle historii cywilizacji w Polsce od czasów Mieczysława i Dąbrowki do Stanisława Augusta. Dotychczas wykonał już dziewięć obrazów, a liczba ich według zamierzonego planu, do kilkunastu dojdzie wina.

W salonie Krywulca otwartą została wystawa obrazów Roztworowskiego, zmarłego w r. z. w Krakowie.

Z teatru i muzyki. Artystom teatru Wielkiego rozdano do nauki „Ryszarda III-go“ — Szekspira. Rolę tytułową objął pan Ładnowski.

Artysta krakowski p. Siemaszko przerobił na scenę „Pana Wołodźjowskiego“ Sienkiewicza.

Druga serya wieczorów kameralnych w Instytucie muzycznym rozpocznie się z d. 11 b. m.

W Warszawie występowała utalentowana śpiewaczka panna Nikita.

Zmarli: Ś. p. Ks. Roman Spithal, dr. świętej teologii, prałat i kustosz katedry krakowskiej, b. pronotaryusz apostolski, prałat demowy Ojca Ś-go., — zm. w Krakowie.

Ś. p. Teofil Magdziński pełen długoletnich zasług obywatelskich, prezes Kola polskiego w sejmie pruskim, człowiek nieskażonego charakteru i niepospolitych zdolności — zm. w drodze z Berlina do poznań, licząc 70 lat życia.

Ś. p. Ludwik Silnicki, b. oficer b. wojsk polskich, uczeń szkoły podchorążych, ur. w r. 1802 — zmarł w rodzinnej wsi Gzowie, pod Radomiem.

Odpowiedzi Redakcyi.

Szanownych czytelników — nadsyłających nam łaskawie wiadomości do rubryki: „Chleb dla swoich“ — zapewniamy raz jeszcze, że wszystkie te wiadomości będą zużytkowane; nie pomijając bowiem żadnej z nich, — podajemy je w takiej kolejności w jakiej nadchodzą. Przytem prosimy tychże sz. korespondentów, aby wraz z doniesieniami — *jedynie dla wiadomości redakcyi* i osób któreby we wskazanych miejscowościach, dane przedsiębiorstwa zakładać chciały — raczyli nam komunikować swe nazwiska i dokładne adresy. O to samo też prosimy mianowicie w tej chwili korespondentów, którzy byli łaskawi nadesłać nam wiadomości wspomniane z Nowego Dworu i Parczewa.

Sz. ks. Galicz w Kluszcach... — Co do 1-o: Dziękując raz jeszcze serdecznie za życzliwość, — z łaskawej propozycyi sz. Księdza Dobrodzieja korzystać nie możemy. Ogłoszenia pomieszczamy w czasie odpowiednim, i w przyszłości też pomieszczamy je bądźmiemy, natomiast prosimy uprzejmie o wskazanie adresu komu „Rola“, za nadesłaną kwotę, mogłaby być przesyłana. Co do 2-o: Wiadome pismo prenumerowaliśmy; materiały jednak jak i z niego czerpać można, niezupełnie nadaje się do „Roli“, — zwłaszcza, iż stosunki miejscowe dostarczają aż za wiele faktów. Co do 3-o: Wiadome książki posiadamy jeden tylko egzemplarz, a w księgarniach tutejszych jej niema. Co do 4-o: O ile, z jednej strony znaczna ilość ogłoszeń jest dowodem poczytności pisma, o tyle z drugiej, ogłoszenia same stanowią ważną rubrykę w budżecie tegoż pisma, stojącego o własnych tylko siłach. Co zaś do rozmiarów ogłoszeń, te muszą być odpowiednie do miejsca, za jakie ogłaszający się — płacą. W każdym razie, za okazywaną nam stałą życzliwość, ślemy raz jeszcze szczerze i serdecznie Bóg zapłać!

Sz. ks. Fk... w M... — Według nas, uchwały tego rodzaju są zupełnie legalne, jak o tem zresztą pisaliśmy już w swoim czasie obszerniej; wydawane bowiem one być mogą na zasadzie art. 16-go Ukazu o urządzeniu gmin wiejskich z r. 1864 (punkt b). Zatwierdzenie wszakże i wykonywanie tych uchwał, jak i wszelkich innych, należy od właściwych urzędów właściańskich. Za życzenia i dobre słowo najszersze składamy dzięki.

Panu P. korespondentowi z okolic Włocławka — W kwestyi tej pomieszczamy już w N-rze dzisiejszym replikę p. Bronisława Kretkowskiego.

Sz. ks. Kassyanowicz Grodz. gub. — Nr. 2-gi wysyłamy, prosząc najuprzejmiej o powtórzenie życzenia zawartego w liście poprzednim i przepraszając za zwłokę.

P. Michał Izdebski Nowo-Archangelsk. — Księgarnia p. Centnerszvera, w której jest skład główny i ekspedycja krakowskiego „Świata“, nie przyjęła pieniędzy, oświadczając iż numeru tego pisma z kwartału I-go 1888 roku są wyczerpane. Rs. 6 przeto pozostaje do dyspozycji.

P. W. Mank... w Warsz. — O lichwiarzach warszawskich pisaliśmy już obszernie, przedstawiając w właściwym świetle wszelkie ich podstępny i niegodziwość. Listu zaś sz. pana, pomieścić nie możemy, przedewszystkiem dlatego, że byłby on raczej, do pewnego stopnia, większem jeszcze pokrzywdzeniem w oczach opinii tych osób, które pan usiłuje bronić. Rs. 2 pozostaje do dalszej dyspozycji.

P. Stokowski p. Wyszogród w Dzierż. — Rachunek jest w porządku Z całego serca życzymy sz. panu rychłego przyjeścia do zdrowia.

P. Z. P. Żb... — Skorzystamy najchętniej. Są to także rzeczy należące do „tajemnic wielkich... interesów“, a których to tajemnic, o ile tylko możliwość pozwoli, nieomieszkamy w dalszym ciągu odsłaniać.

Pani H. M... w Bz... — Żądane wiadomości przesyłamy wkrótce sz. Pani w liście; tymczasem nadmienimy tylko, że konkurencja żydowska nie powinna by jej zrażać, ani przerażać. Konkurencja ta nie jest wcale tak straszną, jak ją malują, świadomi lub bezwiedni poplecznicy semicy.

REKLAMY.

Dentysta **Marceli Grzeszkiewicz**, Nowy Świat Nr. 55, przyjmuje od 10 do 6-iej, — spacyalnie sztuczne zęby. 6—6

OGŁOSZENIA.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-6
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nowowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

Główny Skład Dywanów 52-6

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Kaldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

SKŁAD NASION

pod firmą

HEBANOWSKI I LILPOP

w Warszawie Święto-Jerska Nr. 10

kupuje nasiona koniczyń, wyki, seradeli i t. d. i t. d., prosi o próby gotowych partij z podaniem cen franc o stacya dr. żel. i z oznaczeniem stacyi telegraficznej.

MAGAZYN MEBLI

K. Dziegielewskiego

Ś-to-Krzyżka Nr. 5.

Poleca wielki wybór mebli stylowych i fantazyjnych, oraz najświeższe dekoracje. (26-9)

NOWO OTWARTY (3—1)

Skład Win, Miodów, Delikatesów i Towarów Kolonialnych.

pod firmą

T. BURGHARD & C-OMP

ulica Nowy-Świat Nr. 62,

obok apteki W. Lilpopa.

zaopatrzonej został w zasób doborowych starych win i sławnych kasztelańskich miodów, oraz w najświeższe kolonialne towary i delikatesy, które sprzedawać będzie po możliwie przystępnych cenach.

Z dniem zaś 1 Lipca otwiera przy składzie win osobne gab'nety, w których wydawane będą:

Przekąski, Śniadania, oraz Kolacye gorące.

Ordynacka 11.

G. LOPIEŃSKI

Zakład bronzowniczy — wykonywa roboty użytku domowego i kościelnego. (6—1)

RESTAURACYA KRAKOWSKA

Nowo-otworzona

poleca się względem Szanownej Publiczności, Krakowskie-Przedmieście 57, — 1 piętro (6—1)



24-13

SKŁAD WIN J. LIJEWSKIEGO i S-ki

Krakowskie-Przedmieście Nr. 6.
(wprost kościoła Ś-go Krzyża),

Mianowanego przez Prześwietny Konsystorz generalny Warszawski Przysięgłym Dostawcą Win Kościelnych, poleca bogaty wybór Win Węgierskich dobrze odstałych i z rozmaitych lat, jak również wszelkie inne gatunki Win zagranicznych. — Wskutek obecnie korzystnego kursu waluty naszej, znaczna obniżka cen — Sprzedaż na beczki, baryłki i garnce. — Ekspedycja do wszystkich stacyj kolei żelaznej.

KUPUJEMY KONICZYNĘ i NASIONA

po najwyższych cenach

również wszelkie produkta wiejskie, j. np. sery, masło, zwierzynę

Elektoralna 5.

L. MIEROSŁAWSKI & C^{omp.}

10-3

Poszukujemy agentów na prowincyi, dla robienia zakupów.

Ludwik Wichliński Korektor Fortepianów

w Warszawie, ulica Nowy-Świat Nr. 58.

Strojenie i gruntowna korekta fortepianów i pianin.
Ceny umiarkowane. (3-3)

Fabryka tureckich łakoci

poleca jako najlepszy przysmak higieniczny

Chałwę i Rahat-Łokum:

Chałwa turecka

Rahat-Łokum czekoladowy.

Chałwa czekoladowa.

Rahat-Łokum z migdałami.

Chałwa higieniczna.

Rahat-Łokum owocowy

Chałwa z orzechami.

Rahat-Łokum różany i t. d.

Dostać można we wszystkich sklepach kolonialnych i owocarniach.

Fabryka i Skład mieszczą się przy ulicy Bagno Nr. 4.

(3-2)

Fuki i Priko.

Zakład Hydrauliczny

K. ZALEWSKIEGO

Piękna Nr. 32.

Wykonywa roboty kanalizacyjne oraz połączenia wodociągowe i wszelkie reperacje z gwarancją.
Telefonu Nr. 684.

(6-3)

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885. **ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU**
DYPLOM UZNANIA. MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowania pokoiów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracje, podług najwiewszych żurnali (13-6)

Pierwsza nagroda konkursowa od Towarzystwa Zachęty
Sztuk Pięknych.

MEDAL SREBRNY

ZAKŁAD ARTYSTYCZNY

Wyrobów z drzewa, kościelnych i salonowych

LEOPOLDA BELOW

ulica Biała Nr. 2

w Warszawie.

(3-2)

Magazyn Ubiorów Męzkich
Karola Miniewskiego

Senatorska 29

i sze piętro
obok kościoła Ś-go Antoniego—vis-à-vis A. Feista.



OTRZYMAŁ
d e o b e c n y s e z o n
Wielki Wybór
MATERIAŁÓW

(20-20)

z których wykonywa obstalunki po cenach bardzo przy
stępnych. — Na prowincję wysyła próby i sposób brała
miary samemu sobie.

MALARNIA NA PORCELANIE S. Gorzelewskiego

Niecała 8.

Wykonywa wszelkie roboty na porcelanie i szkło,
w zakres ten wchodzące. (3-3)

FABRYKA I MAGAZYN WYROBÓW JUBILERSKICH W. MOCZYDŁOWSKIEGO

ulica Nowo-Senatorska Nr. 3, obok Hotelu Rzymskiego

poleca:

znaczny wybór gotowej biżuterii z własnej fabryki, co daje
łatwość do zmiany starej biżuterii na nową, a jako z pierwszej
ręki znacznie taniej. Obstalunki i reperacje po cenach niskich,
najakuratniej się wykończają. (12-2)

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka (52-6)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

A. KIERST i S-ka

5. Bielańska 5.

(vis-a-vis Danilowiczowskiej)

SPECYALNA FABRYKA I MAGAZYN

BIELIZNY MĘZKIEJ

CENY NIZKIE!!!

Najlepszy krój Koszul Męzkich.

26-24

GŁÓWNY SKŁAD NASION

R. PODBIELSKI

dawniej Estreich i Podbielski.

ulica Miodowa Nr. 19, w Warszawie

poleca:

Świeże, wyborowe nasiona warzywne, kwiatowe, pastewne i t. p., z Pierwszorządnych produkcji w Erfurcie, po cenach możliwie niskich.

Sadzonki Chmielowe z Saaz, najodpowiedniejsze dla naszego klimatu.

Cenniki wysyła się na żądanie franco i gratis.

Narzędzia Pszczelarskie jakoto: Maski, Blachy odgrozdowe, Noże do plastrów, Rękawice, Sztuczne Węzy (plastry), Ule Lewickiego, Centryfugi i wszelkie inne. Wykonanie sumienne, Ceny niskie.

Sita do Koniczyn z fabryki E. Chrzanowskiego, zastępujące w zupełności najlepsze Trieury.

(6-1)

Dla kaszlących i osłabionych Ekstrakt i Karmelki

Koncesyonowane przez władze lekarskie

Nagrodzone na wystawach higieniczno-lekarskich

Sprzedaż w Aptekach



i Składach Aptecznych.

(10-1)

Fabryki „LELIWA” w Warszawie.

Połączone Fabryki

WYROBÓW PLATEROWANYCH I NOWEGO SREBRA

NORBLIN i Spółka — BRACIA BUCH

w Warszawie, Żelazna Nr. 51.

wykonywają, obok wszelkich przedmiotów, tak do ozdoby jak i do domowego użytku służących, w wielkim wyborze wszelkie aparaty i naczynia kościelne, podług własnych, jakoteż i dostarczonych modeli i rysunków.

Obficie we wszelkie towary zaopatrzone Magazyny fabryczne znajdują się: W Warszawie—Krakowskie-Przedmieście Nr. 67, róg Wierzbowej i Niecałej; w Łodzi; w Krakowie; we Lwowie; w Moskwie—ul. Nikolska dom hr. Szeremietiewa i Kuźnieckij Most dom Torleckiego; w Petersburgu—Newski prospekt Nr. 26; w Rydze—ul. Kaufstrasse, dom Witte; w Odessie—Deribasowska ul; w Charkowie—Szlapnoj pierienok; w Kijowie—na Kreszczatiku Nr. 25; w Rostowie nad Donem—u I. Reicya; w Elizawetgradzie; w Kazaniu; w Tiflisie; w Niżnim Nowgorodzie i w Baku.

Fabryka posiada na składzie i sprzedaje Blachę Mosiężną i z Nowego srebra.

Cenniki illustrowane wysyłają się na każde żądanie, franco.

(6-3)

KANTOR

(0-6)

Eksploatacji Kopalń i Zakładów Wapiennych
w Sulejowie i Opocznie

firmy

JÓZEF BANDURSKI I S-ka

Z powodu sprzedaży interesu detalicznego w Warszawie przy ulicy Okopowej Nr. 9/10 przeniesiony został tymczasowo na ulicę Chłodną Nr. 53 — gdzie załatwiać będzie czynności dotyczące się zakładów i wagonowej sprzedaży Wapna, Kamienia wapiennego, Cementu i t. p.

FABRYKA i MAGAZYN

WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze

Płaszcz gumowe — Buty filcowe

Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane

Torby myśliwskie — Futerały na bron

Portmoneki — Pugilaresy — Portfelgary — Woreczki i t. p.

Wszelkie reparaoye uskuteczniają się szybko i dobrze.

52-25

Treść numeru: Zasadowicze. Album szkiców odręcznych skreślonych przez W. St. Oreczyca. (Serya III). Naturaliści (dok.). — Chleb dla swoich. — Koniec świata przez E. Drumonta (d. c.). — Pan pułkownik w Derkałach. p. Wincentego hr. Łosia (d. c.). — Na posterunku, feljeton Kamiennego. — Z całego świata przez E. Jerzynę. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: Von Kramst przez Autorkę „Opowiadań” (d. c.). — **W Dodatku:** Sprawozdanie handlowe. — Ogłoszenia.

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński.** Дозволено Цензурою. — Варшава 26 Января 1889 г. (Drukiem „WIEKU” Nowy-Świat N-r. 61)

Patrz Dodatek